



Petersburski.

Niech się miota złość na cię i chytróść bezczelna,
Ty mów prawdę, mów śmiało, satyro rzetelna.

KRASIŃSKA

Monstrografia piśmienna.

Requiescant in pace.

Nie w jednych Sonetach, Tryoletach i Apologach, szukali sławy nasi poeci, w ubiegłym roku wzbogaciłiśmy się precudną *Odą: Władysław Warnieńczyk*. Wspaniałość myśli, okazałość wiersza, szczęśliwy dobór wyrazów, sensowność w ogóle, dobitność w szczegółach, mocne przejęcie się przedmiotem bolesnych wspomnień dla naszych rodaków, wszystko to wzięte razem, zapewni dla poety nieśmiertelność, za którą Bałamut zaręcza, i jak na Władysława bohaterkiej *chwale, pędzone czasu przemocą bezwłoczną, przyszłe wieki spoczną*, tak na rymowniczej *chwale* naszego poety, spocznie, wypocznie i znowu zaśnie bezpiecznie na wieki dar poetycki i porządek myśli z rozsądkiem, czego dowody zostaną na zawsze w jego Odzie. Mocno ubolewamy że nie możemy dla naszych czytelników przedrukować całej tej pięknej ody: autor mógłby nas zapoznać o nadużycie praw autorskich i skompromitowawszy nas rymową diatrybą, mógłby wygrać sprawę; postaramy się

jednak, ile możność pozwoli, dać pojęcie o tym utworze.

Naprzód wiedzieć należy że ta znamienita Oda, w bardzo nielicznych drukowana exemplarzach, staraniem prawdziwego znawcy, podług powszechnego dziś zwyczaju rozdana była przyjaciołom autora, wydawcy i korektora; czyli zaś weszła w handel księgarski, z pewnością twierdzić nie możemy, gdyż jej szacowność nie może się cenić na złotówki. Jest to Oda nieoceniona i wyższa nad wszelkie liryczne uniesienia; nie wyrówna jej nawet pewna pogrzebowa francuzka Oda, w naszej stolicy na welinowym papierze drukowana. Kto chce mieć prawdziwy przykład mocy wystowienia się, całej górności poezii, a nadewszystko sensu, niechaj ją czyta, jeśli nie skrupulat na daremną stratę czasu. — Lecz pójdźmy raczej za samym poetą ile wygórowana romantyczność tej ody na to pozwoli.

Poeta przejęty wieszczyn zapalem i czując w sobie dopiekającą wenę, widzi jakieś *bóstwo* czy *bogów królowę*, olbrzymiej postaci, *żyjącą i karzącą się ruchem*. *Granice rządów* tej Pani tam *tkwią gdzie się morza skończyły, gdzie zabrakło łądów*, a

Z boskich jej rąk nasiona rzucone na światy,
Są jak owe kwiaty,

Które prawicą Jowisz dobroczynną,
Cisnął na ziemię dziecinną,
Choć je na chwilę w wnętrzościach przydusi,
Wiecznie jednak rodzić musi.

Tu poeta zamiast czegoś wprowadza Fenixa,
pływaka lekkiego żywiołu, pyczę nilowych lasów,
który żyje i oddycha i punctum.

Trudno jest nam opisać co potem następuje,
bo któż jest w stanie ubogą prozą poetycki za-
pał okryślić, można tylko domyślać się że *Za-
dunajskie niwy, zajęły hufy Nadnewskich rycerzy*
i, cudo niesłychane! *ujrzały* . . . czytelnik może
myśli że znowu jakiego *pływaka*, przepraszam,

Tenże Dunaj, też Balkany,
I ślad nie pozacierany
Władysława chwały.

Na tem się kończy pierwsza strofa, w której
jakieś bóstwo, ze wszelkimi swojej wielkości
attrybutami, *Jowisz, ziemia, Fenix* czyli *ply-
wak lekkiego żywiołu, lasy nilowe, pola zadu-
najskie, nadnewscy rycerze*, niepospolitą grają
rolą. Tyle przedmiotów zmęczyło poetę, *szuka*
przeto w drugiej strofie *wsparcia w sile bóstwa*
co króla wiecznym odziało promieniem. Po krót-
kiej modlitewce, widać że je otrzymał i ktoś
*z Hemowych szczytów patrzył jak bisurmany zie-
mię z wściekłej rozpaczy i wstydu kasały*. Niech
że kto zaprzeczy że to obraz nie bisurmański!
Autor nasz takim jest w całej odzie, i najszusz-
niej: co o bisurmanach, to mówić po bisur-
mańsku. Ale idźmy dalej. To samo bóstwo u
którego szukał wsparcia każe mu *rozwijać szyki*
dzieci Marsa, a że to już nie żarty, maszeruje
więc *ojczyzna z starszymi synami do króla* i
prosi ze łzami aby szanował swoje życie; król
jako *pierwszy żołnierz swojej ziemi*, uparł się i
nieposłuchał *i naksztalt szybkiej strzały, rzucił*
się w Spahow nawaly. Ale drogo zapłacił za tę
zuchwałość, i dobrze mu tak, gdyż choć *w sil-
nej gardzieli, w szponach natężonych cisnął zwy-
cięzonych, ale śmiertelną zlany posoką* umarł.
Biedny król! za życia w nim płynęła krew bo-
haterska, a jak zabruął do Turków, to własną
oblał się *posoką*.

Tkliwy to był obraz dla naszego poety i go-
dnie też go opisał. Nie tak to dawniej nasi
przodkowie żalowali jak teraz; poeta świadczy,
że skoro wieść o zgonie króla rozeszła się, przy
powszechnym smutku, *kapłani z żalu jęczeli, a*
*jedni tylko rycerze i to zasępieni, myśleli o na-
stępnych bitwach*.

Tak tedy odbywszy zaciętą wojnę, utraciwszy
króla i oplakawszy go, zapewne myślicie że już
koniec na tem, mylicie się panowie; nasz poeta
jeszcze pali perorę do Szumli i wnosić można
że zapaleczywą, lecz że wprost do tej niepokor-
nej twierdzy mową swą poetycką szturmuje,
niech więc ją Szumla sobie rozumie i kiedy chce
na nią odpowiada, my tymczasem przejdźmy do
ostatniej, dzięki Bogu, strofy, która ponieważ i
do Czytelników naszych może się stosować, wy-
piszemy ją co do słowa.

Ty, coś go piersią twoją wykaraniła z młodu
Matko bohaterów rodu
Polsko! wznies myśl nad światy i nad gwiazdy ziemne
W niebiosów gmachy tajemne.
W wieńcach aniołów świetnych jak promień czystością,
Wśród Serafinów swoją żyjących miłością,
Przy tronie przedwiecznego ci waleczni stoją,
Którzy z orężem legli za ojczyznę swoją,
Gdy ujrzysz Władysława, ojców twoich pana,
Padnij ze czecią na kolana,
I błagaj, niechaj z siedlisk, gdzie dni wieczne trawi,
Synów twoich błogostawi.

Niech błogostawi i synów i wierszokletów
twoich! Wieczne odpocznienie niech będzie da-
ne tak sensownym i poetyckim odóm, a światło
rozumu niech zabłyśnie dla podobnych na tej
ziemi poetów!

Ż y w o t

PARTENOFILA BAŁAMUTA.

(ciąg dalszy).

Kiedy tak czytam i odczytuję list ten przekle-
ty; kiedy wyrzekam przeciw mojej współuczest-
nicy, od której: zdawało mi się, że miałem pra-
wo spodziewać się przychylniejszych chęci — a
jak sobie dziś stan mój ówczesny wystawiam —

to nawet i przywiązania; kiedy nie znanem mi jakimś uczuciem i gniewu i przestachu miotany, przeklinam pensiją, P. Sansusi, Bandażyńskiego i Labego; kiedy na ostatek przemyślałem nad sposobami przeszkodzenia uknowanej zdradzie i pomszczenia się nad Bandażyńskim — w tym słyszę za bliskim szpalerem coraz żywszą rozmowę: — *Pierwszy głos.* Czyliż pewnie jego niewidziałas? *2^{si} głos.* Ależ doprawdy niewidziałam. — Posłyszawszy głos Labego i służącej tej samej panienki do której list był pisany, wnet się domysliłem o co idzie i jak największą cichość zachowałem. *Labe.* Cóż to ma znaczyć, gdzie on zniknął z sali, wszak musiałas być w pokoju kiedy zaczął examen? *Anusia.* Byłam, tylko już go w ten czas nie było. *Labe.* Co mówisz?... zginąłem... inaczej stać się nie mogło... *Anusia.* Cóż takiego, czego X. Labe tak się przestraszył? — *Labe.* Nie, to nic — ale... widzisz Anusiu... zaraz... a panienki ty niewidziałas? *Anusia.* Ja dalibóg nie wiem co X. Labe się stało — wszakże panienka najlepiej wyrecytowała swoje pytanie czyż tego X. Labe nie słyszał? i możnaż pytać czy ja ją widziałam? *Labe.* Tak — ale nie to, — to kara boska ten examen. *Anusia.* No przepraszam, muszę spieszyć do kredensu, już prędko dadzą do stołu. *Labe.* Jakto, czy już po examinie, ajaz gdzie byłem? *Anusia.* A któż ma o tém wiedzieć lepiej od X. Labego Dobrodzieja? *Labe.* Tak, prawda — tylkoż poczekaj chwilkę — a widzisz, musisz wiedzieć, o! filutka; pamiętaj kochanezko że przed duchowną osobą prawdę mówić zawsze należy. *Anusia.* A więcej przed nikim? — *Labe.* No... nie zawsze, tylkoż to się mówi szczególnie przed duchowną — więc widziałas dokąd wybiegł P. Partenofil? — *Anusia.* O mój Boże wszakieżem powiedziała że niewidziałam — aj! dzwonią — do nóg upadam. Labe stanął jak posąg, blady i przerażony, ruszał tak konwulsyjnie ustami, że wychudłe i obwisłe policzki w niezliczone łamały się schylenia, — podjął ręce do góry i razem spuścił je bezwładnie, tak, że omal znowu nieupadł pochylony ich cię-

żarem i westchnawszy w tej chwili zawołał: »puściła się jak wichler, a list Bandażyńskiego już może na czterech końcach miasta czytają.« — Nie, pomyśliłem sobie, nie czytają jeszcze — ale popamiętasz ty mój pobożny Francuziku i nie długo myśląc, wychyliłem się z altany i zręcznie podkradłszy się z tyłu, huknąłem, gruby głos udając, nad głową osłabionego X. Malepeste — a tuś mi hultaju! i mój Labe leżał powtórnie bez duszy. Niechże więc leży, rzekłem sam w sobie, ten niktzemnik, i przez otworzoną tylną fórtkę ogrodu, pobiegłem spiesźnie do Paliwody, jedyne go w każdym zdarzeniu, mego doradcy. — Jak nanieszczęście nie znalazłem go i wróciłem do domu. Zmieszany i niewiedząc jak się z listem obrócić wszedłem nieśmiało do pokoju. Już było nakryto do stołu i tylko mnie czekało. Nieboszczyk ojciec w czerwonej krymce siedział na kanapie podkurczywszy jedną nogę pod siebie, i ostrzył sobie palec na osełku, którego fenomenowi podówczas jeszcze nie wiedziałem przyczyny — a dziś... no, cóż mam o tem powtarzać, wszakże ciekawy czytelnik mego żywota, dowie się o tym sekrecie i z drukowanych książek, nadewszystko zaś praktyka jest najlepszą w każdym razie nauczycielką; wierz mi synu że to prawda, bo inaczej nigdybym tak długo niepamiętał przysłowia: *usus magister*, które mi kiedyś pewny wytłumaczył latinista. — Mama moja, nieco rozdasana, porywała się z krzesła i znów na nie padała, wrzeszcząc niepomiernie, i jak uważałem zato się najmocniej gniewała, że ojciec odbywając z palcem swym na osełku operacją, mało mówił, i rzadka się uśmiechał. — »Ależ zmiłuj się, mon ami, jakiej tu spodziewać się dla dzieci naszych edukacji, kiedy P. Wizytator waży się publicznie zarzucać Labemu Malepeste bezzasadność metody i nie szanowanie prawd religijnych — wmawiając w niego że nakręca sens do wiersza. Żał mi było patrzeć na biednego Malepeste kiedy mu się krew rzuciła z nosa i kiedy musiał nieskończywszy examinu wyjść z sali; to prawdziwie nie darowana PP. examinatoróm! — A! — gdzież to był Parteno-

filciu, co ci jest takeś blady — skąd ten piasek na rajtuzikach, ach mon Dieu! co ci jest dziecię? — czemużeś nie był na examine?« — Musiałem przecię podać pomoc Labemu, biedny przestraszony zemdłał na schodach, sprowadziłem go do ogrodu, ocierałem, chuchałem, rzeźwiłem, i tak ledwo tylko jedno oko otworzył i leży jak nieżywy. Cóż ja mam chodzić na takie examina! ucałowałem ręce mamy i ojca prosząc żeby mię więcej nie posyłali na pensiją. — Rozczulili się oboje niebożęta i wnetże poobiedzie posłano do P. Sansusi z odmówieniem. Czekałem niecierpliwie końca obiadu, po którym natychmiast galopem ruszyłem do Paliwody. Wpół drogi dościga mię, jakiś obszarpany gimnazysta i oddaje od Paliwody karteczkę na której czytamy te wyrazy: »Od wczorajszego dnia siedzę w karceriesie, a ty się tłuczysz po pensii, ledwo dziś o 7^{mej} wypuszczą — a tymczasem zjadłbym i djabła z rogami. Twój Paliwoda.« —

Wiadomość ta była dla mnie zabójczą — dziecinne te wypadki mogą się porównać do wystrzałów które pierwszy raz uderzają ucho nowozaciążnego żołnierza. Lecz im dalej wstępnym postępuje bojem spiesząc po laury, tym coraz większa rośnie w nim odwaga z chęcią zbójectwa i rzezi. Zmieszala mię intryga Bandażyńskiego; nikczemność Malcepeste obudziła pogardę w mojem względem niego uczuciu; nad wypadkiem Paliwody przyjaciela, szczerze bolałem. Przyszedł czas nakoniec w którym, wspomnienie tej przeszłości jest mi obojętne, jak obojętnym być mógł dla starego żołnierza huk dział piorunowych pod Wagram albo Lipskiem. Nie rozmyślając jednak w ten czas, biegłem z posiłkiem do Paliwody. Uderzyła nakoniec pocieszająca godzina, puszczono mego przyjaciela; a gdy się zaczął z żałami nad takim poniżeniem

rozwodzić, uśmiechnął się zamożniejszy w doświadczenie Paliwoda i zanótł piosenkę: *«Kto w kozie nigdy nie bywał, Ten niezna roskoszy i t. d.»* Lecz ja posiedziawszy dobę, rzekł do mnie, w ciemnym karceriesie zostałem nagle poetą i prawdziwym; bo bez pióra i atramentu, bez ołówka i papieru na sucho sobie przyspiewując, ułożyłem pochwałę dla kozy, i zaczął znowu wyspiewywać:

Najbezpieczniej, mnie się zdaje, gdy grożą pioruny,
Skrzyje ciębie ciemna koza od ognistej łuny.
Na jej boku spij spokojnie i w słoty i w mrozy.
Chcesz znać ludzi przyjaciela, nie stroń że od kozy.
Kto z przyjaciół twych, przyjaźni a kto wart powroza,
Przysłuchaj się jeno pilnie szepnie tobie koza;
Na choroby też wszelakie i serca i głowy,
Kumys z mleka czarnej kozy pomocny i zdrowy.
Dawniej w mądrość posażyla Jezuicka toza,
Dziś nam wpaja zdrowy rozum i moralność koza.
Jakże miło po butelce i po nocnej trwodze,
Spocząc w kozie najspokojniej choćby na podłodze.
Już nad sobą w karceriesie czynilem uwagi:
Milej w głodzie dzień przesiedzieć, niż wziąć tęgie plagi,
Wczora straszna pod bilardem czekała mię groza,
Bedel wyrwał mię z pod kija, niechaj żyje koza!

(d. c. n.)

EPIGRAMMA.

Że masz przyjaciół, nie wierzę;
Słuchaj bracie, powiem szczerze:
Ciebie szukając oczyma,
Sercem wielbią twe dukaty.
Jak wiosna ożywia kwiaty,
A sroga niszczy je zima,
Tak przyjaciół kieszczę nasza,
Pełna wabi, czcza odstrasza.
I ledwie setny z ich grona
Taki duszą, jakim z mowy;
Podobni są do melona:
Sto skosztujesz, — jeden zdrowy.

ПЕЧАТАТЬ ПОЗВОЛЯЕТСЯ.

С. Петербургъ, 4 Июля, 1830 года.

Ценсоръ К. СЕРГИНОВЪ.

ST. PETERSBURG, DRUKIEM KAROLA KRAHA.